Rok VI. Kraków, październik 1931. Nr. 2.

BŁYSKI

PISEMKO
UCZENIC PRYW. SEM. NAUCZ. ŻEŃSKIEGO T. S. L.
im. Fr. PREISENDANZA W KRAKOWIE.

Jesień polska.

Koniec września a początek października — i już ranki i wieczory w mgłach spowite, kroplami rosy przyprószone, dzionki krótkie, bladem licem słonka oświecone — oto jesień polska.

Przychodzi w szatach ze mgły utkanych, płaszczem złotym w purpurę i fjolet haftowanym się okryje, rozsypie na ramiona włosy swe rdzawe, ustroi je w perły i djamenty — i tak ubrana, z bladym uśmiechem na ustach, z tęsknicą w oku idzie przez pola.

Wokół cisza. Łąki, ugory — puste, ścierniska szare, a po nich lekkie sinawe dymy się wloką. Błyskają w opalowej mgle ogniska i płyną od nich pastusze śpiewy żałosną, rozwlekłą nutą. Gdzieniegdzie we mgle widnieją zarysy pasącego się bydła, tu i tam snują się jeszcze ludzie, zbierający z pól ostatnie plony. Pozatem — pustka, smętek, spokój...

Z drzew spadają liście z monotonnym szelestem.

L. Lachowska (Bydgoszcz).

Liście w jesieni.

A jedne były zielone,
a inne żółte i zmarszczone,
a wszystkie chore jesienią
padały na ziemię łzą — liście.

I słońce ich nie uleczyło
i rosa ich nie zbudziła
z twardego wiecznego snu...

Płakało drzewo, płakało...
Leciały stubarwne łzy,
szeleściły, wzdychały, umierały...
Pożegnalne pieśni życiu grały.

Pandora.

Park podgórski w jesieni.

Otoczony z dwóch stron ścianami Krzemionek, z trzeciej—przylegający do poblizkich zabudowań kościelnych. Park podgórski jest bardzo miłym zakątkiem. Przez całe lato gwarno tu i wesoło, a olbrzymie boisko aż się roi od dzieci i młodzieży, grającej w piłkę i tennisa.

Przyszła jesień. Zamiera życie w przyrodzie — cichnie ruch i gwar w parku. Drzewa stoją w złocie pożółkłych liści które opadając zaścielają ścieżki i aleje mieniącym się barwnie kobiercem. Coraz częściej zakrada się tu wiatr, strząsa liście z drzew, porywa z ziemi i wirując pędzi je po pustych prawie alejach, wreszcie unosi hen—ponad Krzemionki... W parku zostaną drzewa nagie, śpiące zimowym snem. Szaro tu będzie i smutno.

Lecz gdy tylko spadnie miękki, biały śnieg, gdy ściśnie mróz, park nasz w nowej śnieżnej szacie znowu się zaludni i ożywi. Znów się tu młodzież gromadzić będzie, używając swego ulubionego sportu ślizgawki.

Holiatówna III. kurs.

Dzisiejszy kryzys gospodarczo-społeczny a misja społeczna Kościoła.

W chwili obecnej świat cały jest jednem niesłychanie ważnem zagadnieniem pochłonięty. Wszystkie prawie kraje europejskie, ponadto już i Ameryka wysuwają na czoło spraw państwowych—kryzys gospodarczy.

Jest on jednym z opłakanych skutków wojny światowej, następstwem zamykania granic. Główna jednak przyczyna kryzysu leży w wadliwości ustroju kapitalistycznego, który się zachwiał w swych podstawach i musi ulec przeobrażeniu lub ustąpić miejsca innej strukturze gospodarczej. Warunków dla dalszego jego rozwoju dziś już niema—podstawy światowej gospodarki chwieją się w posadach — a jeśli runą, nastąpi katastrofa, która pochłonąć może cały dotychczasowy dorobek kulturalny całego świata!

Kryzys gospodarczy obejmuje wszystkie narody i klasy, jest powszechny i długotrwały. Wszyscy się zajmują kwestją dóbr, których nie jest na świecie za mało, przeciwnie, jest ich za dużo — ale nikt dotychczas nie może wskazać sposobu racjonalnej niemi gospodarki, nikt nie potrafi wskazać, jaką drogą pójść należy do zdobycia równowagi ekonomiczno-społecznej. Każdy natomiast zdaje sobie sprawę z ważności przełomowej chwili, którą przeżywa i czuje konieczność przystosowania się do nowych warunków życia. Szczególnie wielkie i ważne zadanie spełnić ma dziś kościół i społeczeństwo katolickie.

Chrystus przyszedłszy na świat rozwiązał kwestję społeczną — teraz kościół powinien tego dokonać. Nie wkraczając bezprawnie w dziedziny życia gospodarczego, Kościół może i musi mieć wpływ na tworzenie nowego jego ustroju, głosząc zasady etyki gospodarczej i społecznej. Misja gospodarczo-społeczna Kościoła jest konsekwencją głównej jego misji dotyczącej duszy człowieka. Porządek społeczny nie może panować tam, gdzie się nie uwzględnia ścisłego związku pomiędzy życiem nadprzyrodzonem a życiem naturalnem człowieka. Jeżeli zdezorjentowane narody i społeczeństwa zrozumieją konieczność zorganizowania życia gospodarczego w duchu etyki wtedy zapanuje na ziemi prawdziwy pokój Boży.

Opracowała na podstawie wykładu.

E. Tarczałowiczówna V. kurs.

Ze złotych myśli.

Wzdychać do wykonania i nic nie czynić to nie pochwała.

Wszelkie słowo w istocie swej jest czcze i próżne... Wielkiemi są tylko czyny.

S. Żeromski.

Cele nauczania historji w szkole.

(Z artykułu F. Zawadzkiego w „Pracy szkolnej".)

Historja jako przedmiot nauczania zbyt silnie wiąże się z życiem narodu, by nie ulegać wpływom potężnych prądów życia dziejowego. Prądy polityczne, społeczne, moralne, ideały pedagogiczne epoki, budowa polityczna i społeczna kraju, wreszcie stan samej nauki historji—wszystko to wpływa na określenie celów nauczania historji. Niejednokrotnie jednak należy w imię wyższych ideałów przeciwstawiać się wpływom idącym z pewnych źródeł życia dziejowego.

W niedawnej przeszłości w Niemczech celem nauczania historji w szkole było apoteozowanie panującej dynastji, zwalczanie partji socjal-demokratów i budzenie nienawiści do polaków. Takie lekcje paczyły dusze i nienawiścią je zatruwały, budziły niechęć do wszystkiego, co wychodzi z łona pewnej warstwy społecznej, innego narodu lub od ludzi innej wiary.

Jeżeli więc można i należy przeciwstawiać się prądom mętnym i jałowym, nie wolno ograniczać się zupełnie od życia nowoczesnego.

Szkoła powinna nietylko uczyć ale i wychowywać, przygotowywać do życia, rozwijać zdolność do skutecznego działania w imię wyższych ideałów. Bez poczucia związku ze swoim narodem, bez zrozumienia nowoczesnych prądów życia,—życie jednostek po wyjściu ze szkoły byłoby niepożyteczne i nieszczęśliwe.

Ponieważ dziś szerokie warstwy narodu chcą o swym losie decydować i ponosić odpowiedzialność,—jednostka musi być nietylko przygotowana do pracy, ale czynna i samodzielna.

Poza powyższemi założeniami, które są ogólno-ludzkie, rozważymy inne specyficznie polskie.

Po długiej przerwie w tradycji państwowej, po długiej nocy niewoli, stworzyliśmy własne niepodległe państwo, o którem marzyły pokolenia polaków umierających w niewoli, za które oddawali krew i życie żołnierze Grochowa i Ostrołęki. Z myślą o niem umierał w głuchym ostępie leśnym powstaniec 63 roku, o niem śnił w katorgach szereg zesłańców — męczenników. To państwo, ten skarb bezcenny musimy zachować i przekazać młodemu pokoleniu.

Zadaniem tedy szkoły, a w szczególności obowiązkiem nauczyciela historji jest rozwinąć w uczniach świadomość państwową. Wskazując na niepodległość jako na najdonioślejszy czynnik postępu i nieodzowny warunek wzmocnienia sił twórczych narodu, nie należy zapominać o wykazaniu młodzieży niebezpieczeństw, jakie państwu naszemu zagrażają. Nauczyciel historji powinien odczuć i zrozumieć wielkość zadania, które przed nim stoi i prowadzić naukę tak, aby osiągnęła cel pożądany: ukształtowała dusze obywateli Polski.

Lekcje historji winny obudzić zainteresowanie życiem własnego narodu przedewszystkiem, twórczością innych narodów w ciągu wieków, winny tem samem zainteresować życiem zbiorowem w teraźniejszości i przyszłości. Budząc zainteresowanie się sprawami życia ludzkości, lekcje historji utorują drogę do zrozumienia, jaki bezmiar trudu i pracy ponosi każde pokolenie narodu nad dźwiganiem życia na wyższy poziom kultury. Niechże te lekcje wzniecą ukochanie trudów przeszłości i wyrobią przywiązanie do swojej ziemi i miłość ojczyzny, dla której żyć i pracować należy aby spotęgować w niej pierwiastki dobra, piękna i prawdy.

Lekcje historji wykazują, jak każda jednostka swem postępowaniem i działaniem wpływa mniej lub więcej na życie zbiorowe społeczeństwa — budząc więc tem samem poczucie odpowiedzialności w młodej duszy ucznia. Młodzież dzięki lekcjom historji zapozna się z wybitnemi postaciami, które odegrały ważną rolę w dziejach i pozostawiły trwały i głęboki ślad swojej działalności—a poznawszy życie tych ludzi, ich dzieła, bogactwo ich ducha i bezmiar siły woli, nauczy się czcić i kochać prawdziwie wielkich ludzi — przedewszystkiem bohaterów własnego narodu.

Jednym z najważniejszych zadań, jakie stoją przed nauczycielem historji jest doprowadzenie młodzieży do zrozumienia teraźniejszości'

jako wyniku sił, które działały w epokach poprzednich. Ważnem jest zrozumienie przez młodzież epoki współczesnej jako fazy, w której dla nas żyjących krystalizują się procesy i wpływy przeszłości. Dlatego w nauczaniu historji na plan pierwszy wysunięte powinny być dzieje nowoczesne i nowożytne, na drugi zaś — starożytność klasyczna ze szczególnem uwzględnieniem dziejów Grecji, jako źródła kultury europejskiej.

Dotychczas zbyt słabo i powierzchownie traktuje się w szkole dzieje XIX. stulecia, które przyniosło ludzkości tyle głębokich przeobrażeń, tyle ważnych wynalazków i sprawiło zupełny niemal przewrót we wszystkich dziedzinach życia.

Niewątpliwie odbiegliśmy już daleko od starego szablonu wyliczania królów i wojen ale dotychczas dotkliwie odczuć się daje w nauczaniu słabe uwzględnienie ewolucji gospodarczej i dziejów nauki, która w dobie nowoczesnej przetwarza życie coraz głębiej i silniej.

Nauczanie historji dając zrozumienie teraźniejszości, przekonywując o wartości pracy, oświetlając drogę przebytą od barbarzyństwa do cywilizacji—zbawiennie podziała na umysłowość i psychikę młodzieży naszej i w okresie rozkwitających bujnie sił naszego narodu skieruje ją na drogę ofiarnego trudu i bohaterskich wysiłków dla Ojczyzny.

A. Kuśnierzówna, Kraków.

Z wakacyj.

Jedną z najprzyjemniejszych wycieczek, które zrobiliśmy w tym roku, to wycieczka do Zamków Orawskich.

Z Zakopanego wyruszyliśmy już o 3-ciej godzinie rano i skierowaliśmy się ku granicy. Droga prowadziła przez Gubałówkę, Ostrysz i wieś Chochołów do Suchej Hory. O godz. 6·30 byliśmy już na granicy polsko-czeskiej, oddalonej od Zakopanego o 15 kilometrów. Tam przejrzano nasze paszporty, a w godzinę później pociągiem udaliśmy się w dalszą drogę do Zamków Orawskich, względ-

nie do miejscowości Podzamok Oravsky. Nazwa pochodzi stąd, że miejscowość ta leży u stóp pięknego zamku, zbudowanego na wysokiej skale, wznoszącej się nad falami rzeki Orawy, a wysokiej na 110 metrów.

Przybywszy na miejsce, poszukaliśmy schroniska, a po obiedzie urządziliśmy sobie dłuższy wypoczynek nad brzegiem Orawy. Byliśmy zachwyceni roztaczającym się przed nami krajobrazem, użyliśmy przytem do syta przejażdżki po rzece kolorowemi łódkami, pozostawionemi do użytku publiczności.

Około godziny 5 po południu udaliśmy się na zwiedzanie zamków. Stanowią one kompleks trzech budowli wznoszących się jedna nad drugą—uczepionych jak orle gniazdo na pionowej skale. Przez bramę obronną wchodzi się do dolnego zamku zbudowanego za Piotra Komorowskiego, który był panem Żywca, a „hrabią na Liptowie i Orawie". Z dziedzińca weszliśmy do kaplicy z roku 1612 i do przyległych komnat, gdzie znajduje się zarazem Muzeum Orawskie. Komnaty są dobrze zachowane, częśaiowo umeblowane i ozdobione licznemi portretami kolejnych władców zamku.—Z dziedzińca wewnętrznego pną się strome, kute w skale schodki do środkowego zamku, który został zbudowany w wieku czternastym. Całe wewnętrzne urządzenie zniszczył pożar w roku 1800. Wreszcie drewnianemi schodkami dostaliśmy się do zamku górnego, pochodzącego z jeszcze wcześniejszej doby, bo z wieku trzynastego. Z balkoniku na szczycie najwyższej baszty podziwialiśmy rozległy widok na dolinę Orawę i na łańcuch Tatr w dali.

Nazajutrz z żalem opuszczaliśmy Podzamok. Zwiedziliśmy jeszcze miasteczko Ćtenę, a koło południa zbliżaliśmy się do granic Czechosłowacji, żegnani słowami: „Pozdrówcie tam Polsku"! Skwar południowy nie pozwalał na długi marsz, to też po przejściu granicy rozłożyliśmy obozowisko nad Czarnym Dunajcem. Wieczorem dopiero, chociaż znużeni ale zadowoleni z wycieczki, wróciliśmy do Zakopanego.

K. Zembatówna (Zakopane).

Wschód słońca na Babiej Górze.

W tym roku obóz nasz rozbiłyśmy na Orawie w pobliżu Babiej Góry. Zapowiedziana wycieczka na „Babcię" przyjęta była przez całą drużynę niewypowiedzianą radością.

Gdy wreszcie nadszedł dzień wycieczki, od samego świtu zaczęłyśmy czynić gorączkowe do niej przygotowania. Po wspólnem śniadaniu w obozie stanęłyśmy wszystkie gotowe do drogi (z mocno wypchanemi plecakami) i krzyknąwszy pozostałym pożegnalne „Czuj! Czuj", ruszyłyśmy.

Trzeba przyznać, że droga była długa i męcząca, jednak młode i zwione harcerki, zwłaszcza my z Wiewiórek, przebyłyśmy ją z pogodą niewzruszoną i godną podziwu wytrzymałością. Już noc zapadała i srebrny księżyc wyjrzał z poza chmur, gdy znalazłyśmy się w schronisku. Po bardzo wygodnym noclegu—wszystkie piętnaście spałyśmy w jednym kącie pod stołem—wstałyśmy żwawo o świcie, aby zobaczyć wschód słońca.

Zebrałyśmy się na szczycie góry. U naszych stóp w morzu mgieł tonęła uśpiona Zawoja, z drugiej strony w sinawych oparach drzemała Orawa.

Na horyzoncie zarumieniła się zorza, a w blaskach jej cienie topnieć zaczęły. Niebo różowiało coraz więcej, a tam gdzie miało ukazać się słońce, sinawe chmury w jakieś fantastyczne układały się kształty.

Cisza niezmącona panowała dokoła. Przerywały ją niekiedy podmuchy chłodnego wiatru, przelatujące ponad okolicznemi wzgórzami.

Wszystkie z bijącem sercem i zapartym oddechem oczekiwałyśmy wschodu. Tymczasem ze srebrzystych mgieł wynurzały się pobliskie, zarysowywały dalsze szczyty. Zmierzch pierzchał, niebo czerwieniało coraz bardziej, wreszcie ukazał się na widnokręgu purpurowy rąbek tarczy słonecznej, który w jednej niemal chwili zamienił się w ogromną ognistą promieniejącą kulę!..

Stałyśmy pełne zachwytu, pełne podziwu dla mocy i wielkości Bożej.. Jak ze snu zbudzone wróciłyśmy do schroniska.

I. Niklówna II kurs.



Kościół w Orance.

J. Wiśniewska V. kurs.

Z przyszłości.

Nie trzeba marzyć, nie trzeba śnić...

Twarde to słowa i przykre dla młodej rwącej się ku życiu istoty—jednak oszczędzają jej one wielu, wielu rozczarowań!

A ja tak lubię marzyć!...

Późnym wieczorem, gdy światło zgaśnie, cisza zalega pokój leżę sobie i patrzę hen, ku górze, gdzie wysoko, bardzo wysoko migotają maleńkie gwiazdy. Kocham bardzo te gwiazdy, bo mam wrażenie, że gdy jestem smutna, to i one żałośnie mrugają ze stropu niebios, a gdy mi jest lekko i wesoło na duszy, to te miljony brylantowych oczek mienią się i błyszczą radosnym uśmiechem.

Patrzę na nie zasłuchana w cichnący gwar miasta i myślę. Nie zadaję sobie wcale pytania, o czem myśleć? O! nie.. W przedziwny sposób z mgieł, z nocnych mroków wyłaniają się jakieś postacie obrazy, sytuacje,—dźwięczy słodka, upojona melodja, płynie pieśń o szczęściu nieznanem,—myśli biegną szybko w dal, w przyszłość.... marzę. I nikną wtedy gwiazdy, milkną odgłosy ze świata i jest mi wtedy dobrze.

Gdy jednak się ocknę, gdy wróci świadomość rzeczywistości, odrazu następują refleksje—eh! niemądra jestem!—a potem zjawia się żal i zła dręcząca tęsknota... za czem?.....

Teraz, kiedy jestem na piątym kursie, w marzeniach moich, w cudownych wizjach zjawia mi się praca nauczycielki.

Oto z ciemności wyłania się piękna okolica, gdzieś daleko, w lasach kresowych. Budynek szkolny tonie w zieleni drzew i woni barwnych kwiatów. Dużo, dużo słońca, nigdy na niebie chmurki niema, żadnego cienia, któryby zmącił jasność i ciepło istnienia.
I widzę samą siebie w klasie. Na twarzy mej—uśmiech zadowolenia, wzrok kochający skierowany na małe siedzące w ławkach istoty. Czuję wyraźnie przyszłe swoje uczucia i to mnóstwo wrażeń które prawdopodobnie odbierać w mym zawodzie będę. Z rozkoszą ucząc i pytając chodzę po klasie i gładzę otaczające mnie główki dziecięce.. Widzę siebie znów w ogrodzie, wśród drzew i kwiatów a moja wesoła „hołotka" bawi się, pyta o wszystko, a ja jestem taka szczęśliwa!

Jakie to piękne, i niedalekie — lecz jakże ciężko zbudzić się z tych cudownych marzeń jak smutno powiedzieć sobie a jeśli nie zdam matury? posad niema... będę sobie czekać i czekać... i tak wkółko!

Cóż mi jednak szkodzi marzyć i stwarzać obraz przyszłości w jasnych, tęczowych kolorach—śnić o życiu bajkę z tysiąca nocy?.

„Wszak młode jesteśmy, życie nam się śmieje!“

C. Dunikowska V kurs.

Dumań godzino!

Dumań godzino...
Szara, tajemnic pełna,
Cieniów, co płyną
Na świat, by welony
Żałobnej szaty
Na świat ten łzami skropiony,
W smutki bogaty...

Kiedy dzień kona,
Ścieląc ostatnie blaski na zachodzie,
I noc nieśmiało powstaje zbudzona,
Niepewną stopą dotykając ziemi;
Ostatnie dźwięki dnia
W przestworzach giną,
Wówczas panujesz ty czarami swemi,
Dumań godzino!

Dumań godzino
Ty niesiesz sercom słodkie ukojenie
Najrozkoszniejsze ze wszystkich:
Zapomnienie!

Dumań godzino,
Bądź błogosławiona!
Że choć na chwilę myśl moją odrywasz
Od smutków życia, któremi dręczona
We dnie i w nocy,
Już prawie zamiera.
Bólem zmęczona,
Nowej nabiera z twoich marzeń mocy.

Dumań godzino,
Bądź błogosławiona!

S. W. (Nauczycielka w Glewcu).

Wycieczka w Pieniny.

(Ciąg dalszy).

Po kilku godzinach stanęłyśmy na pagórku, skąd widać było Pieniny, płynący w dolinie Dunajec i jakąś wieś, którą w bujnej imaginacji uznałyśmy za Czorsztyn, chociaż brak ruin zamku budził pewne wątpliwości co do trafności naszego sądu. I rzeczywiście, spotkani po drodze górale wywiedli nas z błędu, mówiąc, że to jest wieś Maniowy, do Czorsztyna zaś jest jeszcze 8 km. Po przejściu dalszych 3 km. dowiedziałyśmy się, że do Czorsztyna znów pozostaje 8 km. i tak ciągle było—szłyśmy bez przerwy, a kilometrów nie ubywało! Na dodatek, deszcz zaczął zrazu kropić, a potem lać niemiłosiernie. Musiałyśmy przerwać marsz, a ja zostałam wydelegowana do najbliższego domu z prośbą o gościnę w stodole. Gospodarze wpuścili nas nawet do sieni, czego później musieli gorzko żałować, widząc ślady naszych butów na czystej podłodze. Chciałyśmy zaśpiewać coś w podzięce, z czego jednak rychło zrezygnowałyśmy, mając miłosierdzie dla tak gościnnych ludzi.

Dowiedziałyśmy się ostatecznie, że do Czorsztyna pozostaje nam 6 km. drogi, a do Sromowiec Wyżnych, celu naszej podróży dalszych 4 km., więc żwawo ruszyłyśmy naprzód. Po jakimś czasie zobaczyłyśmy stromą skałę, a na jej szczycie malownicze ruiny. Widok ten dodał nam animuszu i wkrótce byłyśmy już u stóp tej skały, u prze-

łomu Dunajca. Tu jednak niektóre żołądki kategorycznie odmówiły posłuszeństwa, więc pani postanowiła, że zanocujemy w Czorsztynie. Jakaś gospodyni zaprowadziła nas do swojej zagrody i tu dopiero rozpoczęło się szorowanie i mycie, w którem korytko dla krów odegrało z powodzeniem rolę łazienki. Po spożyciu smakowitej jajecznicy—syte, umyte i odpowiednio zmęczone, ułożyłyśmy się w stodole na sianie—a po chwili Morfeusz porwał nas w swoje objęcia. Tym razem noclegowi żadna nic nie miała do zarzucenia.

Ranek zaczął się wesoło: dostałyśmy kakao na śniadanie i dowiedziałyśmy się, że do Cisowego dworku, a następnie do Sczawnicy przeprawimy się łódkami! W drodze nad Dunajec zdarzyło się nam jednak straszne nieszczęście! Na obiad miałyśmy spożywać grzyby, które niosła w imbryku Marysia Z. Szłyśmy wszystkie wygodną ścieżką z górki, gdy wtem Marysia zdecydowała, że lepiej skrócić sobie drogę, idąc „na przełaj". Nie zastanowiła się, nieszczęsna, nad tem, co robi,—nie myślała, co niesie!! I oto jaki po chwili przedstawił się nam widok: Marysia leży, jak długa i krzyczy: Moje grzybki! moje grzybki!, a grzybki staczają się powoli, jeden za drugim wdół wysypawszy się z naczynia. Rozpacz nasza miała granice: szczególne. miłośniczki grzybów, rzuciwszy się na ratunek, zdołały trochę ich uratować. Ale Pani, dowiedziawszy się o nieszczęściu, zawyrokowała pewnie Halszka doradziła Marysi taką drogę! Naturalnie! Jeżeli kto coś źle zrobi, to zaraz na mnie!... Mimo wszystko za chwilę wszystkie byłyśmy nad rzeką, gdzie przywitano nas łukiem trjumfalnym. Szłyśmy pod nim dumne i napuszone, aż tu okazało się, że ta owacja na nasze przyjęcie miała podkład zgoła prozaiczny—chęć zysku...

U brzegu stało już pięć łódek połączonych ze sobą, a wydrążonych w pniach — takich bowiem z powodu ich lekkości i małej wywrotności używają górale. Umieściłyśmy co rychlej nasze plecaki i nasze w osoby w łódkach i wyjechałyśmy na środek rzeki, lekceważąc złe wróżby. Już nastrój nas ogarnia, podziwiamy uroczy widok ruin, gdy wtem na pierwszym zakręcie łódka — bęc! zaczepia o kamień i w jednej chwili napełnia się wodą, która zalewa nasze plecaki. Dwie inne łódki idą za przykładem pierwszej, a prąd nas znosi, obraca!.

Krzyki pasażerek świadczą o ich emocji, a łódki — ani myślą ruszyć dalej. Musimy „wylądować", brnąc w butach do brzegu i unosząc na plecach nasze drogocenne zapasy. Pani denerwuje się o aparat fotograficzny.

Wreszcie górale wylewają wodę z łódek, spychają je z kamienia; pakujemy się z powrotem i płyniemy. Jeszcze nami fale kręcą, ale śpiewamy wesoło, czekając na następny zakręt i spokojniejszą już wodę.

Ta przygoda doskonale nas nastroiła i wprawiła w dobry humor. Przyczyną „katastrofy" było to, że na 5 łódek przypada 5 osób, a nas było 14 z tyluż plecakami! Różnica okazała się odrobinę za duża. Do Sromowiec Wyżnych „zajechałyśmy" szczęśliwie. Tam spełniło się moje marzenie: zobaczyłam Dworek Cisowy, owiany legendą dla każdej harcerki. Jest on własnością założycielki harcerstwa żeńskiego w Polsce, druchny Oleńki Małkowskiej.

Zostawiwszy tu swoje plecaki, ruszyłyśmy w dalszą drogę. Płynęłyśmy po zielonych falach, omijając kamienie i zakręty, wpatrzone w nurty rzeki, zamyślone, marzące. Wtem na środku rzeki zobaczyłyśmy dwóch Cyganów; stali po pas w wodzie, w przemoczonych ubraniach i grali na skrzypcach. Jeden z nich był młody, a drugi zupełny starzec. Grą swą zarabiali od przejeżdżających. Odtąd już ciągle spotykaliśmy Cyganów na naszej drodze. Gdy zdaleka zobaczyli nasze łódki, wchodzili do wody, grali i śpiewali, a dzieci robiły trjumfalne bramy z gałęzi. A łódki mknęły dalej, zawadzając czasem o dno. W jednem miejscu woda okazała się tak płytka, że musiałyśmy wysiąść na brzeg i przejść dobry kawał pieszo. Za chwilę miały się nam ukazać Trzy Korony i najpiękniejsze załomy Dunajca W drodze opowiedziałam ciekawej Marysi Z. historję powstania Pienin. Mówiłam jej, jak to z południa na północ posuwały się trzy płaszczowiny, dwie z nich zatrzymały się w Tatrach, a trzecia przeszła ponad niemi i wryła się w miękki materjał fliszowy, który zupełnie ją przykrył. Słuchała Marysia bardzo cierpliwie, więc mówiłam dalej, jak to po powierzchni tej przykrytej płaszczowiny płynął Dunajec jakgdyby po równinie, tworząc mnóstwo zakrętów podobnie, jak rzeki nizinne. Wskutek erozji wstecznej Dunajca i innych czynników, n. p. deszczu, miękki materjał fliszu zaczął się niszczyć, a na jego powierzchnię wydobywały się powoli nagie skałki wapienne, na których zaczęto z biegiem czasu budować zamki w celu obrony granic. Pozostałością dawnego charakteru rzeki są jej zakręty, które w normalnych warunkach nie byłyby się wytworzyły. Przerwałam opowiadanie, bo wsiadłyśmy znowu do łódek i za chwilę miałyśmy ujrzeć coś niezwykłego. Przepłynęłyśmy tuż obok Czerwonego Klasztoru, gdy nagle droga się przed nami zamknęła pod wielką skałą. Nie można było się domyśleć, w którą stronę rzeka skręca, tak że przeraziłyśmy się nie na żarty, gdybyśmy z poprzedniej nauki o Pieni-

nach nie były przygotowane na to zamykanie się drogi. Zjawisko to polega na tem, że lasy znajdujące się na jednym brzegu zlewają się pozornie z lasami na brzegu przeciwnym i dają takie złudzenie, że rzeka nie ma gdzie płynąć dalej.

Od Trzech Koron płynęłyśmy wązką doliną między stromemi skałami bielejącemi na tle ciemnej zieleni. W niektórych miejscach zakręty były tak silne, że tylko ogromna wprawa w kierowaniu łodzią naszych przewoźników uchroniła nas od rozbicia się o kamienie; w innym znów miejscu okazało się, że całą prawie szerokość rzeki zajmują dwa olbrzymie głazy a w pozostałe między niemi przejście trzeba się literalnie wślizgnąć! Nasz góral zrobił to bardzo umiejętnie, a potem dopiero oznajmił, że miejsce to nosi nazwę Djabelskiego Skoku, że bardzo często woda znosi i obraca tu łódki w sposób co najmniej nieprzyjemny.

Po tym przesmyku wpłynęłyśmy w dolinę jeszcze węższą, natomiast głęboką na 14 km. Tu żadna nie miała ochoty wysiąść z łódki, albo z nią razem się wywrócić!... Przewoźnik wrzucał cały swój trzymetrowy kij pionowo do wody, a po chwili kij ten również pionowo wypływał na powierzchnię! Znalazłyśmy się wkrótce pod Sokolicą, poza którą widniała skała pustelnika — narazie cel naszej wyprawy. Płynęłyśmy jeszcze długo i bez żadnych niestety (!) przygód dostałyśmy się do Szczawnicy. Tu był kres naszej wędrówki wodnej. Z ogromnym żalem opuszczałam łódkę, która dostarczyła mi tyle wrażeń i przyjemności. Na brzegu znowu byłyśmy przywitane muzyky i po wysłaniu około 60 kartek w różne strony świata, ruszyłyśmą na zdobycie żywności.

(Dokończenie nastąpi).

H. Papińska V. kurs.

Moje pierwsze zastępstwo.

Przyszła Pani i zapytała: „No panienki, która na ochotnika zechce poprowadzić lekcję? Z zapałem wyraziłam gotowość poprowadzenia tej lekcji, Pani się na to zgodziła i zaraz po dzwonku ruszyłam do klasy IV-tej z miną najpoważniejszej w świecie nauczycielki. Gdy tylko pokazałam się dzieciom, obstąpiły mnie kołem i jedno przez drugie krzyczało, zarzucając mnie pytaniami i prośbami: „Niech pani mnie najwięcej pyta... Czy już zawsze Pani nas będzie uczyć...?"

Musiałam użyć całej powagi (nauczycielskiej), kazałam dzieciom zająć miejsca w ławkach i po odmówieniu pacierza przystąpiłam do lekcji.

Wprawdzie odczuwałam pewien niepokój w sercu, a nawet jakgdyby silniejsze i prędsze jego bicie, ale pocieszałam się tem, że mam prowadzić historję, nota-bene uczyć o Bolesławie Chrobrym.

Zdaje mi się, że poszło mi dobrze i składnie. Dzieci brały żywy udział w lekcji, okazywały duże zainteresowanie i same wyrywały się z opowiadaniami—słowem w klasie wielki panował ruch. W połowie godziny zrobiłam ćwiczenie gimnastyczne i oddechowe z dziećmi, potem zebrałam jeszcze raz materjał przerobiony, a zakończyłam lekcję równo z dzwonkiem. Natychmiast dzieci powylatywały z ławek i znowu mnie otoczyły z hałasem tak że ledwie się z pomiędzy nich wyrwałam. Ta pierwsza lekcja zrobiła na mnie bardzo miłe wrażenie. Wzywam więc wszystkie koleżanki IV kursu, żeby chętnie do zastępstwa się zgłaszały. Będą mieć z nich korzyść, a obok tego przyjemność... siedzenia na katedrze. Chociaż przyznam, że lepiej (nie wygodniej) jest siedzieć w ławce!

A. Tatarczuchówna IV kurs.

Kronika.

Z początkiem września uczennice kursu I-szego odbyły wycieczkę geograficzno—przyrodniczą na kopiec Kościuszki pod kierunkiem p. Dr. Medweckiej i p. Gancarczykowej.

10/IX kurs IV rozpoczął hospitację w szkole powszechnej im. Konarskiego. Uczennice nasze z ciekawością obserwowały dzieci, mając już za sobą kilka lekcyj psychologji.

12/IX Uczennice kursu III zamiast lekcji rysunków były na Wawelu w celu zapoznania się z zabytkami z okresu renesansu, zwłaszcza z kaplicą Zygmuntowską.

12/IX Uczennice kursu V i IV udały się do szkoły im. św. Florjana, gdzie odbył się pokaz nowej „Krakowskiej" metody nauczania stosowanej z bardzo dobrym rezultatem w szkole im. św. Wojciecha. Sprawozdanie o tej metodzie podamy w numerze listopadowym.

19/IX Uczennice wszystkich kursów zwiedziły wystawę krajoznawczą. Z pośród bogatego materjału wystawowego zwracała uwagę kolekcja strojów ludowych, których barwność i rozmaitość była prawdziwą ozdobą wystawy. Ogromne zainteresowanie zwiedzających budziły trzy wnętrza izb—mrocznej i poważnej izby góralskiej, wesołej i kwiecistej krakowskiej i skromnie urządzonej śląskiej.

W ciągu ostatnich tygodni kilka uczennic, kursu III-go uczęszczało na cykl odczytów p. t. Niemcy a Polska.

Nakładem Uczennic Prywatnego Seminarjum Naucz. Żeńsk. T. S. L. im. Fr. Preisendanza
Wyd. i odp. redaktor Jadwiga Brodowiczówna.
Redakcja i Administr: Kraków, Groble 7.

Drukarnia Fadena w Myślenicach. — Telefon Nr. 20.